Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

R. IV T. 5 1 MAJA 1927 Nr. 9

WIADOMOŚCI KATOLICKIE

DWUTYGODNIK POŚWIĘCONY IDEOM I SPRAWOM KATOLICKIM

TREŚĆ:

KRAKÓW

DRUKARNIA „WIADOMOŚCI KATOLICKICH“

Od dnia 1-go stycznia 1927 r. jako dodatek do „Wiadomości Katolickich“

wychodzi

SUMMA FILOZOFICZNA

ŚW. TOMASZA Z AKWINU

(Contra Gentiles)

Dzieło to wiecznie aktualne i świeże, zarówno treścią jak i formą odpowiadające naszym dzisiejszym wymaganiom, jest obok Summy Teologicznej, choć od niej kilka razy mniejsze, wyczerpującem, genjalnem streszczeniem filozofji chrześcijańskiej. Toteż znajdować się powinno w ręku wszystkich katolików, pragnących wgłębić się w najważniejsze zagadnienia obchodzące każdego człowieka i zdać sobie jasno sprawę z podstaw Wiary naszej św. Z tego też powodu rozpoczynamy już teraz druk tłumaczenia tej Summy, by zadośćuczynić tej piekącej potrzebie duszy katolika. Nie przerywamy przez to jednak dalszego intensywnego tłumaczenia i ogłaszania drukiem Summy teologicznej, tak, że drugi jej tom mamy gotowy i ukaże się za parę miesięcy.

SUMMA TEOLOGICZNA ŚW. TOMASZA Z AKWINU.

Któż z ludzi, mających jakąkolwiek styczność z nauką, nie słyszał o tem dziele — ale jakże mało jest takich, którzy je w rękach swoich mieli, a tembardziej takich, którzy je przeczytali. Dzieło to, napisane przez największego, najgenjalniejszego filozofa chrześcijańskiego, od samego początku wzbudzało podziw a nawet zachwyt. Sam Papież Jan XXII, który kanonizował świętego Tomasza z Akwinu, nie wahał się użyć tego zwrotu, że każdy artykuł tego dzieła, a jest ich z górą przeszło dwa tysiące, to cud. I jeśliby kto sądził, że Ojciec święty, chcąc w sposób niezwykły uczcić i zalecić to genjalne arcydzieło, jakiem jest bezsprzecznie Summa teologiczna św. Tomasza, użył tylko wyrażenia przenośnego, to gdy sam zabierze się do zgłębiania tej dziwnej księgi, zawoła wnet w szczerem i głębokiem przekonaniem, wraz z owym Papieżem: naprawdę każdy artykuł, każde prawie zdanie, to cud. Zdumienie ogarnia wobec tych wszechstronnych tematów, jakie tam mistrz święty omawia, wobec przepaścistych głębi, w jakie autor święty, Doktor Anielski, czytelnika wprowadza, wobec nieskończonych horyzontów, jakie przed oczyma jego duszy otwiera. A czyni to wszystko z taką naiwną prawie łatwością, z taką prostotą myśli i wyrazów, że dla filozofa dzisiejszego, przyzwyczajonego do napuszystego, a mętnego i powikłanego sposobu wyrażania się nowożytnych świeckich filozofów, prostota ta jest prawie kamieniem obrazy i często powodem, że po przerzuceniu tu i ówdzie Summy św. Tomasza, z lekceważeniem ją odsuwają, powtarzając ów banalny a z gruntu fałszywy frazes o naiwności i prymitywie średniowiecza.

Ale i dzisiaj nie wszyscy filozofowie tak sądzą, owszem, jak słusznie zauważył wybitny filozof dominikański O. Sertillanges, Summa teologiczna w naszych czasach jakby z nowym triumfem i sławą wielką wchodzi w dzisiejszy świat uczony. Nietylko filo-

zofowie katoliccy, tak duchowni jak i świeccy, ale nawet ci, którzy zdala stoją zresztą od Kościoła katolickiego, a nawet do jego nieprzyjaciół się zaliczają, i sami, o ile umysł ich zdolny jeszcze i chętny do uznania prawdy, do studjowania Summy się zwracają i innych do tego nawołują. W londyńskim naprzykład uniwersytecie, a więc na wszechnicy nawskróś protestanckiej, urządzono osobne wykłady filozofji św. Tomasza, które powierzono Ojcom Zakonu kaznodziejskiego. W sferach zaś katolickich, tych szczerze, głęboko katolickich, nastąpił w ostatnich dziesiątkach lat gwałtowny nawrót do św. Tomasza i jego Summy. Ruch ten zapoczęty przez takich mężów jak Kleutgen, Tongiorgi, Sanseverino, i wielu innych, do najwyższego napięcia doszedł pod wpływem dwóch tak wielkich umysłów, jakiemi byli Leon XIII i kardynał Mercier. I zarówno dawne, wielkie duchowne uczelnie filozoficzne, zakonne i świeckie, jak i coraz to nowe powstające uniwersytety katolickie, biorą Summę św. Tomasza za swój podręcznik szkolny i za źródło niespożyte i zawsze nową tryskające myślą, z którego czerpiąc prowadzą dalej to wielkie zadanie, które genjusz św. Tomasza tak wspaniale rozwiązał, mianowicie godzenia wiary objawionej z wiedzą, zdobytą rozumem ludzkim.

Ten ożywczy wpływ myśli Tomaszowej nie ogranicza się obecnie tylko do najwyższych uczelni i do kół fachowych filozofów. Zgodnie z duchem czasu rozszerza się on na szerokie warstwy inteligencji obojga płci. I żeby pomóc temu tak zbawiennemu prądowi i ułatwić zaznajomienie się ze Summą także i tym, którzy niedość opanowali język łaciński, powstają po krajach katolickich tłumaczenia Summy na języki narodowe, a tłumaczenia te są tam przyjmowane i rozchwytywane i czytywane z entuzjazmem. I można powiedzieć, że w pierwszych szeregach tych wielbicieli i czytelników Summy, idą inteligentne, duchem katolickim przejęte kobiety. Wszak w Paryżu przy Institut Catholique rozwija się wspaniale koło tomistyczne kobiet, które nietylko oddaje się przyswajaniu sobie i przetrawianiu zasad filozoficznych i teologicznych św. Tomasza, ale pracuje w tym kierunku samodzielnie, wydaje czasopismo, poświęcone tomistycznej filozofji, a niedawno ogłosiło poważne dzieło w języku francuskim*), będące wstępem do Summy i streszczeniem jej głównych zasad.

---

*) „Initiation à la Philosophie de St. Thomas“ publiée sous la direction de E. Peillaube, Paris M. Rivière 1926.

W literaturze polskiej, tak bogatej w przekłady dzieł obcych, tłumaczeń owego największego, najgenjalniejszego dzieła literatury chrześcijańskiej, jakiem jest bezsprzecznie Summa św. Tomasza, nie było. Redakcja naszego pisma, która za cel wzięła sobie szerzenie znajomości katolicyzmu, pogłębianie i uświadamianie ducha katolickiego w naszem społeczeństwie, postanowiła lukę tę wedle sił swoich wypełnić. Zanim jeszcze do tej pracy tłumaczenia Summy zabraliśmy się, zdawaliśmy sobie jasno sprawę z nieprzezwyciężonych prawie trudności, na jakie się narażamy, a przy samej potem pracy mieliśmy niejednokrotnie sposobność przekonania się, jak słusznemi były nasze przewidywania.

A trudności, z któremi się spotykamy przy przekładaniu Summy na język polski, są bez porównania większe, niż te, które mieli do przezwyciężenia tłumacze na inne języki europejskie. Najpierw bowiem trzeba pamiętać, że języki romańskie, zarówno jak i język angielski, posiadają źródłosłowy łacińskie, gdy więc chodzi o oddanie terminologji filozoficznej św. Tomasza, mogą ją bez zmiany prawie przenosić w swój język. Tłumaczowi polskiemu tego czynić nie wolno, chyba gdy chodzi o wyrazy do naszego języka powszechnie przyjęte. Nie tworzyliśmy wyrazów nowych, ale musieliśmy niejednokrotnie wyrazy już używane zacieśniać do pewnych ściśle określonych pojęć filozoficznych. A drugą trudnością swoistą dla tłumacza polskiego, to ośrodek w którym pracuje. Wszak cechą naszą narodową — piszemy to bez żadnej goryczy, lecz trzeźwo patrząc w oczy rzeczywistości, — jest duch twardej i nieraz mało wyrozumiałej krytyki. Mieliśmy się już sposobność o tem zresztą na sobie przekonać. Zaledwie bowiem kilka arkuszy tłumaczenia Summy wydaliśmy jako dodatek do „Wiadomości Katolickich“, a więc gdy zaledwie pierwsze kroki poczyniliśmy w tej ciężkiej i trudnej pracy, a już jeden z Polaków uważał za stosowne z surową a mało życzliwą, rzeczowemi przykładami nie popartą wystąpić krytyką — i to w poważnem czasopiśmie filozoficznem francuskiem — przypisując niewiadomo zupełnie na jakiej podstawie autorstwo tłumaczenia jednej osobie i to wymieniając ją po nazwisku, podczas gdy tłumaczenie to jest to anonimowe, wspólne dzieło osobnego komitetu z łona naszej Redakcji.

Nikt chyba tak dobrze jak my nie zna niedoskonałości naszej pracy. Krytykę rzeczową, choćby nie wprost życzliwą, ale bezstronną, przyjmiemy z wdzięcznością, zwłaszcza, jeśli nam ona podsunie spo-

soby doskonalszego oddania myśli św. Tomasza. Przedstawiając tę pracę Czytelnikom polskim, pragniemy, by ułatwiła im ona zaznajomienie się z owem największem arcydziełem ducha ludzkiego. Ostrzegamy jednak, że aby się z niem rzeczywiście obznajomić, nie wystarczy karty jego raz przeczytać, ale trzeba je zgłębiać i przemyśleć, a ci, którzy mają ów tak pożyteczny i święty zwyczaj odprawiania codziennego rozmyślania, niech z ufnością i wytrwałością biorą Summę teologiczną za podręcznik, czyli za tak zwane punkty rozmyślania. Możemy ich na podstawie własnego doświadczenia zapewnić, że wkrótce tak w niej zasmakują, iż nigdy się z nią nie rozłączą, i żadna inna księga prócz Pisma św. już ich nie zadowoli.

A zapewniamy ich także, nie my, ale za Leonem XIII i jego następcy na Stolicy Piotrowej i najznakomitsze umysły katolickie, że dla obecnej, chorej, na atomy rozbitej duszy nowoczesnej, niema lepszego, owszem, niema innego lekarstwa, jak filozofja św. Tomasza.

Wołamy więc jak ów duch dobry wołał do św. Augustyna: Tolle, lege, weź, czytaj.

UZDROWIENIA STWIERDZONE W LOURDES W R. 1926.

Podczas dorocznego zebrania Stowarzyszenia Matki Boskiej Łaskawej, odbytego ku czci Najśw. Panny z Lourdes przedstawił dr. Eck, sekretarz Stowarzyszenia lekarskiego Najśw. Panny z Lourdes, sprawozdanie opatrzone dowodami o uzdrowieniach, które się zdarzyły lub zostały zapisane jako definitywne w Lourdes podczas roku 1926. Wybieramy z pośród nich najbardziej uderzające.

Panna Marja Róża Robert w Cuichen (Ille et-Vilaine) cierpiąca na ropienie nerek, w stanie spuchnięcia bardzo ciężkim, uzdrowiona po kąpieli w sadzawce 14 maja 1925, i uznana za definitywnie uzdrowioną 20 czerwca 1926.

Panna Franciszka Le Guerb w Saint Goarec (Finistère) cierpiąca na paraliż i zgniecenie szpiku, dotknięta prawdopodobnie chorobą Potta, doznaje polepszenia w środę rano 23 września 1925, i ostatecznie uzdrowiona podczas procesji z Najśw. Sakramentem tego samego dnia; zapisana 4 lipca 1926.

Panna Marja Dupeu urzędniczka pocztowa, cierpiąca na chroniczne zapalenie mięśnia sercowego i gruźlicze zapalenie opony brzusznej, uzdrowiona na stacji w Lourdes 30 sierpnia 1925, gdy powracała do pociągu pielgrzymki, by wracać do Aunot (Basses Alpes). Zapisana 11 lipca 1926.

Panna Florentyna Van Hoof, cierpiąca na wrzody w żołądku, początki

których sięgały r. 1921, uzdrowiona w jednej chwili w Lourdes 29 czerwca 1925, po kąpieli w sadzawce. Zapisano 11 lipca 1926.

Panna Lucyna Revillot w Varennes le Grand (Saône-et Loire) cierpiąca na chorobę Potta od r. 1921, uzdrowiona w Lourdes 29 lipca 1925, po kąpieli w sadzawce, uzdrowiona do reszty w Nevers przed grobem Bernadety 3 sierpnia następnego roku, zapisana 19 września 1926.

Panna Marcelina Guichot z Rennes cierpiąca na chorobę Potta w krzyżach, uzdrowiona w Rennes 16 maja 1926, w dzień swego powrotu z Lourdes, zapisana 26 września 1926.

Panna Franciszka Courseault, ze zgromadzenia Najśw. Panny Miłosierdzia z Rouen, cierpiąc na chorobę Potta, uzdrowiona po kąpieli w sadzawce 10 września 1925. Zapisana 10 października 1926.

Panna Eugenja Courrant z Cersay, uzdrowiona w Lourdes 4-go września 1925 z apendicitis subacuta po przyjęciu Komunji św. w Grocie, uznana za zupełnie wyleczoną 17 października 1926.

Panna Lucyna Brugneaux z Geumont (Nord), cierpiąca na gruźlicę płuc, uzdrowiona w grocie 18 września 1925, uznana za zdrową 21-go października 1926.

Panna Croiseaux z Malencourt (Moselle), uzdrowiona w Lourdes 13-go września z zapalenia gruźliczego opony brzusznej, po trzech kąpielach w sadzawce, zapisana 7 listopada 1926.

Pan John Traynor z Liverpool w Anglji, ciężko ranny na wojnie, uzdrowiony ze swych ran i komplikacyj przez nie wywołanych 25 lipca 1923, podczas przejścia Najśw. Sakramentu. Uzdrowienie to jest jednem z najbardziej wzruszających, pisaliśmy o niem już w num. z dnia 15 stycznia b. r.

Panna Ludwika Denis z la Brède (Gironda), przybyła do Lourdes z pielgrzymką narodową francuską, uzdrowiona 22 sierpnia 1925 ze zmiękczenia kości w udzie, uznana za zdrową 3 września 1926.

Panna Marja Ludwika Arnaud z Mèze (Herault), która także przybyła z pielgrzymką narodową francuską, uzdrowiona w Lourdes 23 sierpnia 1925 ze sklerozy. Zapisana 5 września 1926.

Jak widzimy, pomiędzy chwilą uzdrowienia, a oficjalnem jego uznaniem upłynął pewien okres czasu, który lekarze z Biura sprawdzań słusznie przeczekali, podczas którego obserwowali osobę, która doznała cudu, by się upewnić, że nie chodzi o chwilowe tylko polepszenie, ale o zupełne uzdrowienie.

Pomimo tej roztropności nigdy zbyt wielkiej, niektóre wypadki musieli lekarze rozpoznać natychmiast jako zupełne uzdrowienia.

Wśród takich uzdrowień zapisujemy następujące: Panna Augustyna Augault z Craon (Mayenne) uwolniona 21 sierpnia 1926 z włóknika na macicy, który trwał od 12 lat i panna Hotais z pielgrzymki z Lille uzdrowiona 26 sierpnia 1926 z wrzodu w żołądku.

Wiele innych cudownych uzdrowień wydarzyło się oprócz powyższych w Lourdes zeszłego roku, ale Biuro sprawozdań lekarskich oczekuje przed oficjalnem ich ogłoszeniem i wystawieniem na krytykę nauki i niewierzących, aż zatwierdzi jej pewien okres czasu, po upływie którego może dana osoba być pewną, że otrzymała tę łaskę od Najśw. Panny z Lourdes.

Osservatore Romano.

RADOŚCI MATKI NAJŚWIĘTSZEJ.

I rozradował się duch mój w Bogu, Zbawicielu moim. (św. Łuk. I. 46, 47).

Marję czcimy jako Królowę Męczenników, męczeństwo bowiem zasadza się na cierpieniach poniesionych z miłości ku Bogu i dla dania świadectwa wierze w Boga. Jak tedy nikt na świecie nie poniósł tak strasznych męczarni i cierpień, jak Chrystus, tak też nikt nie cierpiał z Nim i dla Niego tyle, co Jego Przebłogosławiona Matka. Prawdziwa to Królowa męczenników, bo przewyższa wszystkich męczenników natężeniem miłości i cierpienia.

Ale myliłby się ten, i dawałby dowód, że nie zna Jezusa i życia doskonałego, ktoby sądził, że Marja przez całe swe życie pogrążoną była wyłącznie w cierpieniach i smutku. Bóg przecież zawsze w ten sposób postępuje z duszami, które umiłował, i które Mu się całkowicie oddają. że gdy raz przejmuje ich serca boleścią niezmierną, tak, że wołają nieraz z Chrystusem konającym w Ogrojcu: Ojcze niech odemnie odejdzie ten kielich, to znów kiedyindziej zalewa ich serca takiem szczęściem i taką radością, że wraz z wielką Teresą świętą odchodzą od zmysłów, albo też wraz z świętymi błagają: dosyć Panie, dosyć, bo tej radości nie zdoła pomieścić i pęknie biedne serce moje. Jeżeli więc jest prawdą, że Marja ponosiła straszne, pojęcie nasze przechodzące cierpienia wewnętrzne, to też prawdą być musi i to, że szczęściem i radością przewyższa wszelkie stworzenie.

Z tymi, których kochamy, współczujemy szczerze i głęboko w ich smutkach i cierpieniach, ale też równie szczerze a radośnie cieszymy się i bierzemy udział w ich szczęściu i weselu. To też dziwnem wydawać się musi, że czciciele Marji, którzy tak chętnie i z takiem przejęciem się rozmyślają o boleściach Marji, rzadko i prawie nigdy nie zastanawiają się nad Jej radościami. A jednak Matka Najświętsza pragnie tego, i jak mówi, mile patrzy, gdy my, Jej dzieci, z Nią płaczemy, tak też i chce, byśmy się z Nią i z Jej radości cieszyli.

Pisarze święci czternaście głównych podają radości Marji i zalecają bardzo gorąco, by o radościach tych codziennie sobie wspominać. Jeden z najwybitniejszych polskich ascetów, ks. Łęczycki, nie waha się przytoczyć bardzo ciekawej tradycji chrześcijańskiej w związku z rozpamiętywaniem radości Matki Najśw., wedle której można pobożnie ufać, że jeżeli kto codziennie pobożnie odmawia czternaście „Zdrowaś Marjo", na cześć czternastu radości Matki Najśw., temu Matka Boska okaże się w chwili śmierci, by osobiście go pocieszyć i bezpiecznie jego duszę z tego świata do Boga przeprowadzić. — Celem właśnie ułatwienia Czytelnikom naszym rozmyślania nad szczęściem i radościami Marji, zatrzymamy się nieco nad każdą z tych czternastu radości.

Radość pierwsza: Zwiastowanie,

Oto poczniesz i porodzisz Syna. (św. Łuk. I, 31).

Wiadomo, że istotę szczęścia u błogosławionych duchów w niebie

stanowi to, iż bezpośrednio oglądają oni oczyma duszy Boga. Umysł ich poznaje w sposób oczywisty Boga jako Prawdę najwyższą i Istotę nieskończenie bożą, obejmuje tego Boga, czyli Go kocha. Jak to wszystko się dzieje, nawet w przybliżeniu pojąć nie umiemy, bo tego, jak mówi Pismo święte, nigdy ani żadne oko nie widziało ani ucho nie słyszało, ani też w serce człowieka na tej jeszcze żyjącego ziemi, nie weszło.

I jest to znowu jedna z owego oceanu tajemnic, jakim jest Słowo Wcielone, że dusza ludzka Chrystusa od pierwszej chwili poczęcia cieszyła się tą właściwością i płynącą z niej radością oglądania Boga twarzą w twarz, tak jak duchy błogosławione w niebie, tylko w stopniu niezrównanie od nich wyższym. Otóż mówią teologowie, że i Matka Najśw. nie ustawicznie, ale w niektórych chwilach życia Swego doznawała tego szczęścia oglądania Boga twarzą w twarz. Taką właśnie chwilą, zdaniem teologów, była chwila zwiastowania i poczęcia w przeczystem łonie Dziewicy Boskiego Syna, Jezusa.

Za przyjściem Mesjasza tęskniła ludzkość od pierwszej chwili upadku i wygnania z raju, a im głębiej upadała, im dotkliwiej odczuwali ludzie swoje upodlenie przez zbrodnie i grzechy, które tak mnożyły się na świecie, z tem większą tęsknotą i upragnieniem zwracała się do Boga, błagając gorąco o przyjście Zbawiciela. I im dusze były świętsze i głębsze, tem żywiej odczuwały nędzę i nieszczęście ludzi płynące z niewoli grzechów i tem goręcej łaknęły przyjścia tego Mesjasza, który miał ludzkość wyswobodzić ze strasznych pęt szatana, podnieść, uszlachetnić i uczynić szczęśliwą. Ponieważ zaś nie było na świecie duszy świętszej od Marji, więc nikt tak strasznie nie odczuwał nędzy ludzkości i nikt z takiem upragnieniem nie wołał do Boga o zesłanie Zbawiciela, i o to, by zrodziła się wreszcie ta Dziewica niepokalana, z której wedle przepowiedni proroków, miał wziąć Swe ciało Zbawiciel. I oto nagle staje przed Nią anioł, wysłannik samego Boga i nietylko w imieniu Boga pozdrawia Ją i nazywa łaski pełną, to znaczy zupełnie doskonałą, i nietylko oznajmia Jej, że już Zbawiciel przychodzi, że Jej najgorętsze pragnienia i wzdychania wysłuchane, ale że to Ona właśnie będzie Matką tego Zbawiciela, jeśli tylko zechce i sama na to się zgodzi. Pokora Jej nigdy by na to nie pozwoliła. Ale ta Jej pokora jest pokorą prawdziwą, a więc zasadzającą się na uznaniu teoretycznem i praktycznem Swej zupełnej zależności od Boga. To też Marja natychmiast na skinienie woli bożej zezwala owemi słowy: niech mi się stanie według słowa Twego. I w tej wielkiej, epokowej dla dziejów całej ludzkości chwili, Duch św. wedle obietnicy anioła zstępuje na Nią, bierze Ją za Swą Oblubienicę i napełnia niepojętą, niezgłębioną miłością, jaką ani przedtem ani potem nie objął żadnego stworzenia prócz Chrystusowej duszy. Któż z nas pojmie szczęście i radość, jakich Marja doznała w owej chwili. Jakież tam światło nadprzyrodzone zalewało Jej umysł, jakże głęboko wprowadzał Duch św. Swoją Oblubienicę w znajomość i pojmowanie najgłębszych tajemnic bożych, z jakąż potęgą i całkowitem oddaniem się Marja zwracała się swem uczuciem ku Bogu i płonęła niepojętym ogniem Jego miłości. Zaiste cudu potęgi bożej było potrzeba, aby Marja nie umarła w tej chwili z nadmiaru tych wrażeń i uczuć, przecho-

dzących potęgą swą to, czego doznali kiedykolwiek nietylko ludzie, ale nawet najwyżsi aniołowie. Jakiemiż cnotami i darami nadprzyrodzonemi ozdabiał Duch. św. w tej chwili tę, która stawała się Jego Oblubienicą i Matką Syna Bożego!

Radość druga: Nawiedzenie św. Elżbiety.

I napełniona jest Duchem świętym Elżbieta i zawołała głosem wielkim i rzekła: Błogosławionaś ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota twego... I rzekła Marja: Wielbij duszo moja Pana. I rozradował się duch mój w Bogu, Zbawicielu moim (św. Łuk. I, 41-47).

Dusze miłujące Jezusa znają z własnego doświadczenia te chwile szczęśliwe, niebiańskie, kiedy to już po przyjęciu Jezusa w Najśw. Sakramencie, oderwawszy się myślą od wszystkiego co ziemskie, zatapiają się całe w Bogu swoim, który w ich duszy teraz przebywa w sposób sakramentalny. Takich to radości, tylko nieporównanie większych, zażywała Matka Najświętsza od chwili, kiedy Syn Boży począł się w Jej łonie i w niem bezustannie przebywał. Na wieść otrzymaną od anioła, że Jej krewna Elżbieta także została matką, i to sześć miesięcy wcześniej od Niej, porzuca Marja słodkie i ciche ustronie w Nazarecie i nie waha się przez puste drogi, przez pola i góry puścić się spiesznie i samotnie, by nawiedzić św. Elżbietę i nieść jej pomoc w zajęciach domowych. Przez całą drogę Marja zajęta swym najdroższym skarbem, Jezusem. Myśl i serce wśród nieopisanych zachwytów i podniesień ducha łączy się coraz ściślej i ściślej z Jezusem. Jezus, jak nauczają teologowie, od pierwszej chwili swego istnienia miał zupełną świadomość, to też teraz rozmawia Matka z Nim, a On z Matką, ową mową tajemniczą, gdzie w jednej myśli wyraża się więcej, niż człowiek zwykły w całej księdze spisać potrafi. O któż kiedy, nietylko ze świętych, ale i z aniołów najwyższych odgadł i pojął te rozmowy, te wzajemne wylewania się miłości Marji ku Jezusowi, a Jezusa ku Marji. Tak zatopiona całkiem w Bogu, Marja odbywa swą podróż — nic też dziwnego, że przy pierwszem zetknięciu się z Elżbietą, na jej powitanie nie umie odpowiedzieć nic innego, jak tylko wylać swoją duszę i wyrazić swoją radość w owym najwspanialszym i najgłębszym a tak prostym pozornie hymnie, jakim jest Magnificat, Wielbij duszo moja Pana. A do tej radości wewnętrznej Marji niemało się z pewnością przyczyniło i to, że w owej chwili Jan św. Chrzciciel w łonie swej matki zostaje uświęcony, oczyszczony z grzechu pierworodnego. „I stało się, mówi Pismo św., skoro usłyszała Elżbieta pozdrowienie Marji, skoczyło dzieciątko w żywocie jej i napełniona jest Duchem świętym Elżbieta".

O Pani i Matko nasza najdroższa, z jakąż radością ciesząc się szczęściem Twojem i radością Twoją w owej chwili, mówimy do Ciebie z czcią i miłością za św. Elżbietą: Błogosławionaś Ty między niewiastami i błogosławiony owoc żywota Twego.

Radość trzecia: Narodzenie Pana Jezusa.

I porodziła Syna swojego pierworodnego a uwinęła Go w pieluszki i położyła Go w żłobie. (św. Łuk. II. 7).

Przychodzi chwila, kiedy Jezus ma opuścić, owo tabernakulum jakiem było łono przeczyste Jego Matki Najświętszej, nie naruszając go w niczem i wejść między syny człowiecze. Marja, jak śpiewa Kościół święty, Dziewica przed porodzeniem, wśród porodzenia, po porodzeniu, wpada w zachwyt. Jest to znowu jeden z tych momentów, gdzie Bóg duszę Jej unosi aż do oglądania Go twarzą w twarz. Wnet jednak budzi się z zachwytu, i widzi u stóp swoich, może na rąbku płaszcza swego, Dzieciątko Jezus. Rozkoszne, prześwięte, boże, nieskończoną miłością kochające wszystkich, a przedewszystkiem i nikogo tak, jak swą przenajdroższą Matkę, Marję. A Dzieciątko to mądre, pełne świadomości i tylko zewnętrzną słabością i bezradnością swego przenajświętszego ciałka podobne do innych niemowląt. Patrzy Marja na Jezusa, tego Syna i Boga zarazem, którego kocha miłością wyłączną, niezmierną, patruje się i Jezus z niewypowiedzianą czułością w przeczyste oczy Swojej Matki. Wiemy z własnego doświadczenia, ile można nieraz powiedzieć jednem wejrzeniem — nikt jednak ze stworzeń, nietylko z ludzi ale i z najwyższych aniołów, nie wie z własnego doświadczenia, jakie tam rozmowy, jakie myśli i uczucia wyrażały się w tych spojrzeniach Matki na Syna Boga i Syna na Matkę. Zatapiając się Marja w oczy Jezusa, jakby zanurzała się cała w nieskończonym oceanie szczęścia i radości. O daj Matko nasza najdroższa, byśmy za Twoją przyczyną mogli i my kiedyś przez całą wieczność z miłością i radością patrzeć tak w oczy Jezusa. Do jakiej jednak czystości wznieść się muszą dusze nasze, zanim szczęścia tego dostąpią.

O jakaż radość i szczęście Twoje Marjo, że na duszy Twojej nie osiadł nigdy najmniejszy pyłek niedoskonałości i Ty teraz z pokorą niezmierną, ale z poczuciem Swojej czystości toniesz we wzroku Twej przenajświętszej Dzieciny.

Radość czwarta: Adoracja pasterzy i Trzech Królów.

Pasterze mówili jeden do drugiego: Pójdźmy aż do Betlejem, a oglądajmy to Słowo, które się stało, które nam Pan pokazał. I przyszli kwapiąc się i znaleźli Marję i Józefa i niemowlątko położone w żłobie (św. Łuk. II. 15, 16).

Mędrcy ze wschodu słońca przybyli... i wszedłszy w dom znaleźli Dziecię z Marją Matką Jego, i upadłszy pokłonili się Jemu. (św. Mat. II. 1, 11).

Marja wiedziała dobrze i nigdy o tem nie zapominała, dla kogo Jezus przyszedł na świat — nie dla Niej, lecz dla ludzi, dla biednych grzeszników. Wiedziała też, że Jej zadanie na świecie i po śmierci, to dawanie Jezusa ludziom i przyprowadzanie ludzi do Jezusa. Nikt też tak żywo i głęboko jak ona nie odczuwał tego nieskończenie potężnego pragnienia,

jakiem płonęło i płonie Serca Jezusa, by przygarnąć ku sobie i pozyskać na zawsze serca ludzi. To też chociaż chwile spędzane przy Dzieciątku Jezus schodziły Jej w niezmiernej radości i szczęściu, to jednak nowa fala radości i szczęścia zalała Jej duszę, na widok, że do Jezusa idą i garną się ludzie, że hołd Mu składają w imieniu całej ludzkości i prości pasterze tuż niedaleko przebywający, i uczeni a potężni mędrcy z dalekich krajów. Jedni i drudzy, to pierwociny tego nieprzejrzanego zastępu serc garnących się odtąd nieprzerwanym strumieniem i nieprzepartą siłą do Jezusa. A wszyscy, którzy doń przychodzą, i tamci przy żłóbku, i my i dalsze pokolenia, aż do skończenia świata, przychodzą li tylko przez modły Marji.

Jeżeli zwykli śmiertelnicy, dla pozyskania dusz Chrystusowi poświęcali z radością życie wygodne, bogactwa, otoczenie rodziny, porzucali kraj ojczysty i w dalekie udawali się kraje, narażając się na trudy niewypowiedziane i kładąc w końcu z radością życie choćby za zbawienie jednej duszy, to jakąż radością przejmować Cię musiał Matko i Wybawicielko wszystkich błogosławionych ten widok owych rzesz idących do Jezusa za Twoją przyczyną, składających Mu swe serce w miłości gorącej i uznających Go za Boga. I mnie tam już Matko najdroższa widziałaś, i za mną się tam modliłaś, ażebym i ja w ślad za pasterzami i królami szedł wytrwale a z żarem miłości do Jezusa. I patrząc tak na mnie idącego, cieszyłaś się Matko najdroższa, radością ogromną. O spraw, bym doszedł do Jezusa, by ta radość Twoja trwać mogła na wieki.

KOŚCIÓŁ I POKÓJ.

I.

Idea pokoju jest odwieczną tradycją Kościoła. Ciągnie się ona nietylko jednem nierozerwalnem i wspaniałem pasmem w Jego doktrynie, lecz odnajdujemy ją jeszcze w pełnym chwały łańcuchu nieskończonej ilości interwencyj papieskich.

O błogosławieństwie pokoju z naciskiem piszą już protoewangeliści. Wśród głoszonych błogosławieństw przez Ezechiela, Jeremiasza, Zacharjasza, psalmistów i t. d. bodaj żadne tak często nie jest powtarzane jak właśnie odnoszące się do pokoju. Narodzenie Chrystusa jest ogłoszone przez aniołów słowami: „pokój ludziom dobrej woli". Nauczanie Mistrza przesiąknięte jest duchem miłosierdzia, braterstwa, pokoju. W modlitwie, którą ludziom daje — w Ojcze Nasz — zawarte jest przedewszystkiem przykazanie pokoju, jak na to św. Jan Chrozostom już zwraca uwagę, jednocześnie wskazując na charakter światowy tej modlitwy. Odchodząc mówi Chrystusowym uczniom: „pacem relinquo vobis"... W pierwszych wiekach chrześcijaństwa idea pokoju była dalej tym ośrodkiem, dookoła którego krążyła myśl ówczesna. Św. Paweł chwali wojska rzymskie jako dobroczynne narzędzie pacyfika-

cyjne. Św. Justyn zwraca się do cesarzy i oświadcza, że nikt lepszym sojusznikiem być nie może od chrześcijan „dla zapewnienia pokoju Cesarstwu“. Już w drugim wieku po N. Chr. spotykamy w liturgji modły o „pokój powszechny dla świata“ a najstarsze części dzisiejszej Mszy — warto jest to podkreślić — są właśnie temi w których najczęściej powraca koncepcja pokoju. I potem już ciągle — wiek za wiekiem — Kościół obraca się w atmosferze tej idei, aby po mowach św. Papieża Leona w 452 r., w których maluje odchodzącą wielkość „pax romana“, rzucić oto już za naszej pamięci przez usta Pius XI hasło „pax Christi in regno Christi”.

Takiem jest — w olbrzymim skrócie — rola pokoju w doktrynie katolicyzmu.

W historji papiestwa nie mniej poczesne miejsce zajmuje. Już w IX w. papież Mikołaj I w swej odpowiedzi Bułgarom daje pierwszy wykład prawa międzynarodowego o wojnie. Wiek dziesiąty, który ujrzał narodziny potężnego ruchu pacyfistycznego, rozpoczął erę wielkiej pracy Kościoła dookoła pokoju. W łonie soborów powstały pierwsze protesty przeciw okropnościom nieustannych wojen. W Charroux 989 roku padły pierwsze ekskomuniki za nadużycia wojskowe. I od tej chwili rozpoczyna się długi okres interwencji papieży w celu ochrony ludności cywilnej od skutków wojny, oraz w celu położenia kresu samym wojnom. Uczyniona zostaje wspaniała, olbrzymia próba wprowadzenia na cały świat chrześcijański powszechnego pokoju. Myśl ta porywa i entuzjazmuje cesarzy, króli, rycerzy, grody całe i miasta.

Narzędziem jej stają się klasztory, pacyfistyczne związki tercjarskie, miejsca azylu, instytut rycerstwa, „Treuga Dei“... pochody krzyżowe... Ukoronowaniem jej miało być Święte Cesarstwo — koncepcja również wielka jak chimeryczna, która oczekiwanych rezultatów nigdy nie dała, a Kościołowi trosk bez liku przyspożyła tylko. Niemniej wysiłki papieży zrobiły swoje i wniosły niewysłowione ulgi i błogosławieństwa w chaos ówczesnych krwawych stosunków feodalnych, ograniczyły wojny, zwiększyły możliwość pokoju. Jednocześnie rozwijała się arbitrażowa akcja papieży, tłumiąca zarzewie konflagrancyj zbrojnych i dążące do lokalnych pacyfikacyj między narodami. Jedna z ostatnich przypada na rok 1493: arbitraż Aleksandra VI, między Hiszpanją i Portugalią w sprawie delimitacji świeżo odkrytej Ameryki.

Ale tu zbliża się już moment, gdy jedność świata chrześcijańskiego zostaje rozbitą a pokojowa rola papiestwa już coraz to bardziej utrudnioną; polityka materjalistyczna opanowywuje rządy i umysły ludzi, aby doprowadzić do tego „pokoju żelaza“ pod uciskiem którego obecnie się zginamy i który nam ciąży jak okropna zmora. Trzeba przeskoczyć szereg wieków — do pontyfikatu Leona XIII — aby znowu ujrzeć nowy rozwój mediacyjnej i pacyfikacyjnej działalności papiestwa. Szereg arbitraży międzynarodowych i akcyj pokojowych uświetnia panowanie Leona XIII, Piusa X i Benedykta XV, który naprożno stara się położyć kres okropnościom ostatniej wojny. Działalność ta potęguje się jeszcze za pontyfikatu obecnego Ojca św. Piusa XI który wchodzi w stały kontakt z Ligą Narodów, w swych encyklikach „Ubi arcano Dei“ i „Quas primas” rzuca podwaliny katolickiego ruchu pokojowego, w swej polityce i swych enuncjacjach usilnie propaguje idee pokoju, dążąc do zbliżenia między narodami i rozbrajania wzajemnych

nienawiści. Pojawia się wśród katolików cała elita intelektualna i moralna, która podchwytuje wskazówki płynące od stóp tronu Piotrowego, bada, studjuje i pogłębia zagadnienia międzynarodowe i rolę w nich katolicyzmu, dając początek głęboko przemyślanej akcji skierowanej ku zwalczaniu rozsadzających ludzkość nacjonalizmów i ku powstaniu całej doktryny pacyfizmu katolickiego. Jedne po drugich powstają międzynarodowe organizacje katolickie, które czynem, słowem, pismem lub modlitwą pracują nad ugruntowaniem pokoju uniemożliwieniem wojny, pogodzeniem powaśnionych narodów i rozwikłaniem stosunków sąsiedzkich między państwami. Szereg wybitnych kapłanów staje na czele tego ruchu: mgr. Seipel w Austrji, mgr. Nouens w Holandji, R. P. Rutten w Belgji, ks. Brauns w Niemczech, mgr. Sramek w Czechach. Cała plejada świeckich uczonych, polityków, myślicieli i publicystów katolickich sekunduje im swemi wysiłkami.

Oczywiście że powyższy krótki rys historyczny nie wyczerpuje ani w przybliżeniu wszystkiego tego, coby dało się powiedzieć na temat tu przez nas poruszony „Pokój i Kościół". Mimo całej powierzchowości w jego traktowaniu jedna niezawodna rzecz wszelako musi każdego chyba uderzyć: odwieczny nierozerwalny związek, jaki istnieje między ideą pokoju a doktryną katolicyzmu i działalnością pontyfikalną Namiestników Chrystusowych.

II.

Świat katolicki (na ogół biorąc) bez żadnego większego entuzjazmu poddaje się dyrektywom płynącym z Watykanu a dążącym do zorjentowania wysiłków katolickich w kierunku pracy pacyfikacyjnej i odważnego wzięcia udziału w życiu międzynarodowem. Nie tu miejsce analizować przyczyny tej wstrzemięźliwości. Wystarczy gdy ją skonstatujemy i wyrazimy pożałowanie, iż tak się to właśnie — i zbyt nawet często — zdarza wśród najbardziej nieraz gorących wyznawców katolicyzmu. Uderzającem bowiem jest — jak zauważa jeden z wybitniejszych katolickich publicystów francuskich — że dzisiejsi katolicy zatykają sobie wprost uszy na nawoływania idące do nich pod tym względem z Rzymu. Nie chcą słyszeć głosu Papieża, nie chcą realizować powszechnie dającej się odczuwać (nawet poza Watykanem) tendencji do organizowania stosunków międzynarodowych na podstawie zasad pewnej solidarności, którą wszyscy czuć się powinni związani. Jednem słowem nie chcą uznać tego, co już Suares — ten bodaj najwybitniejszy z myślicieli jezuickich — wyraża w następujących słowach: „...rodzaj człowieczy podzielony na różne narody i państwa, niemniej żyje pod prawem pewnej jedności nietylko specyficznej, lecz do pewnego stopnia także politycznej i moralnej... ugrupowania ludzkie nie mogąc sobie w swem odosobnieniu całkowicie wystarczyć muszą choćby dla swego własnego dobra podtrzymywać między sobą stosunki wzajemnej pomocy i wzajemnego towarzystwa".

Pocieszać nas tu wszakże powinna jedna myśl, mianowicie, że wszelkie nowe — względnie na nowo wskrzeszone — idee, z wielką tylko powolnością rozszerzają się w świadomości mas a jeszcze powolniej oddziałują na ich praktyczne zachowanie się. Jeśli Kościół potrzebował pół wieku, aby

wytworzyć formułę „Treuga Dei” zaś całe sto lat, aby wszczepić ją w ówczesne umysły — nie dziw, że i dzisiejsze dyrektywy Stolicy Apostolskiej wymagać będą pewnego okresu, nim przesiąkną w dusze wszystkich wiernych i owoc swój wydadzą. Niemniej ci, którzy dzięki tym lub owym przyczynom, czulsi są na głos Papieża i lepiej reagują na tendencje idące z Watykanu — obowiązani są do współdziałania wedle swych sił i możności w dyfuzji tych właśnie haseł i dyrektyw, spływających stamtąd z takim naciskiem. A pośród nich na pierwsze zwłaszcza miejsce wysuwa się sprawa pokoju.

Wysuwa się nietylko jako postulat moralny naszego światopoglądu chrześcijańskiego — jako ów „pax“ wymagający dla swego urzeczywistnienia harmonijnej konsonacji ładu społecznego z ładem wszechświata, ładu socjalnego z ładem w naszych sumieniach. Sprawa pokoju występuje dla nas dzisiaj jeszcze jako postulat praktyczny pierwszorzędnej wagi i pierwszorzędnego znaczenia. Materjalizm naszej epoki stawia nas w obliczu stałego niebezpieczeństwa wojny — wojny, której następstwa *muszą* być dla wszystkich tak katastrofalne, że bez obawy przesady porównać je wolno z zupełnem nieomal zniszczeniem całego naszego dobytku cywilizacyjno-kulturalnego, ze zniszczeniem kompletnem nas samych. To też nie w imię tylko swej doktrynalnej ideologji — dalekich i nieuchwytnych ideałów — wzywa nas kościół do pracy nad pokojem. Wzywa nas w poczuciu dosadnego zrozumienia tej strasznej groźby, która wisi nad nami i chęci odwrócenia od nas śmiertelnego niebezpieczeństwa. Bo Kościół nietylko pieczę nad duszami naszemi sprawuje; troska się również i o nasze ciało i ciało to także bierze w opiekę... nieraz przeciwko nam samym, lecz zawsze dla naszego dobra. Takiem jest jego powołanie i zadanie. I tych dwu rzeczy rozdzielać między sobą nie można; nie można kłopotać się o duszę nie uwzględniając ciała i odwrotnie. Chroniąc więc w danym wypadku nasze ciało, kościół ratuje też i nasze dusze i dla nich pracuje... dla ich doskonalenia i zbawienia.

Jest jeden moment, na który specjalnie uwagę zwrócić należy. Jest to moment, tak powszechnej dziś u wszystkich wiary w nieodzowną konieczność wojny. Wytwarza to specyficzną mentalność, godzącą się z niemożliwością uniknięcia konflagrancyj wojennych i niemożliwością utrzymania pokoju. Nikt już nie chce — nie może — wierzyć w możliwość pokoju i możliwość odwrócenia wojny, Otóż przedewszystkiem tę właśnie mentalność należy w dzisiejszym człowieku zmienić i wszczepić weń wiarę w możność uniknięcia wojny a konieczność jej zwalczania. Osiągnąć to potrafimy tylko wtedy, jeśli zmienimy nasze ciasno-egoistyczne poglądy, jeśli staniemy na szerszej platformie, dostosowującej nasze patrzenie na rzeczy do życia całego świata: adaequatio entis et mentis“.

Maszynizm pod którego znakiem żyjemy, do niemożliwości zmniejszył obszar naszej planety a odległościom dał nowe wymiary: krótsze. Spowodowało to wzmożony kontakt między ludźmi, stworzyło nieznaną dotąd między nimi zależność, zrodziło zjawisko tak olbrzymiej i potężnej kooperacji, że obejmuje ona już nietylko całe dziedziny życia, lecz całe narody i całe kontynenty, łącząc je w pewną solidarną całość. Z solidarności tej

w sferze gospodarczej ludzie zdawać już sobie sprawę poczynają. Nie zdają jej sobie jeszcze wcale w sferze polityki i sferze stosunków międzynarodowych — tam myślą zawsze jeszcze kategorjami ciasno-nacjonalistycznemi, widzącemi w państwie, względnie w narodzie ostateczną, najdoskonalszą postać organizacji społeczno-ludzkiej, nad którą nie masz już żadnego wyższego autorytetu, z którym liczenie się jest moralnie obowiązującem.

Tymczasem pod przymusem rzeczywistości, a wśród bólów i udręk rodzi się pewna postać ponadnarodowej organizacji społeczeństwa ludzkiego, rodzi się coś, czego autorytet poczyna być wyższym od autorytetu poszczególnego państwa i co nabiera cech wspólnego interesu wszystkich. Dzieje się coś, co jest jakby wspinaniem się ludzkości na wyższy nieznany jej dotąd szczebel swej organizacji: solidarności międzynarodowej. Kościół w swej nadludzkiej intuicji, wiedziony Opatrznością, z niesłychaną subtelnością momenty te wyczuwa i wzywa nas do ich większego uwzględnienia. Stanowisko jego wypływa i z doktrynalnego założenia „ut sint unum" i zrozumienia potrzeb a niebezpieczeństwa naszej epoki, i pozornej troski, aby rozwój tych nowych pojęć nie poszedł po linji fałszywej, dostając się w ręce sekciarskiego tylko doktrynerstwa — na swój znowu sposób materjalistycznego, lub antireligijnego. Kościół pragnie schrystjanizować tak samo te nowe pojęcia jak schrystjanizował ongiś pogańskie pojęcie ojczyzny, wytwarzając piękny i wzniosły ideał patrjotyzmu — nową postać ofiarnej miłości swego kraju. I oto zarysowuje się olbrzymie zadanie, do którego Kościół przystępuje: obronić chrześcijańskie pojęcie ojczyzny i schrystjanizować powstające pojęcie ładu międzynarodowego — innemi słowami ustalić chrześcijańskie pojmowanie swych obowiązków narodowych i międzynarodowych. Do współpracy z sobą nas wszystkich, wiernych, powołuje...

Nie mogliśmy uniknąć tej małej dysgresji dopiero co dokonanej: jest ona zbyt ściśle z kwestją pokoju związana, aby mogła być opuszczoną.

Wszakże nie na niej zakończymy tu nasze wywody. Powrócimy jeszcze na chwilę do naszego właściwego tematu.

Dążenie do pokoju jest jednym z postulatów doktryny, którą wyznajemy. Praca nad pokojem leży w odwiecznej tradycji Kościoła. Do tworzenia pokoju wzywa dzisiaj Stolica Apostolska wszystkich swych wiernych duchowych i świeckich. W świecie katolickim organizuje się prawdziwe apostolstwo pokoju — kruciata za pokojem — wzorując się poniekąd na przykładach owego chrześcijańskiego ustroju w średniowieczu, o którym mgr. Besson powiedział w swej allokucji podczas uroczystego nabożeństwa odprawionego przezeń w Genewie w dniu otwarcia posiedzeń Ligi Narodów 14 listopada 1920 r., iż było ono tą jedyną próbą pokojowego współżycia narodów, która się częściowo ludzkości udała. Próbę taką ponawia dzisiaj nasza epoka znowu. W zmienionych warunkach i okolicznościach, ale niemniej kościół w próbie tej współdziała. Nie nasza rzecz szanse tej próby i tego współdziałania tu dyskutować. Stolica Apostolska przemówiła i dała pewne wytyczne — dla kierunku naszej myśli i naszej działalności. Dyrektywy papieży są i być muszą dla nas autorytatywne. To też świat katolicki w swych najbardziej świadomych elementach po wskazanej drodze poszedł. Niewystarczalność duchowa i intelektualna masy wiernych sprawia,

że ci co poszli, są raczej jeszcze wyjątkami i stanowią znikomą tylko mniejszość. Jednakże wywołany ruch ciągle wzrasta i ciągle nowe kręgi — coraz to większe — zatacza wszędzie... prócz w Polsce, do której zaledwie może teraz dopiero dociera.

Zadaniem elity katolickiej w Polsce będzie stać się promotorem tego ruchu dla szerszych mas, stać się ośrodkiem i rezonatorem intencyj i dyrektyw Watykanu, stać się centrum, w którem chrześcijańskie pojęcie pokoju i jego realizacja są omawiane, opracowywane pogłębiane i szerzone. Bo warunki moralne, polityczne, socjalne i religijne, przy których pokój da się uskutecznić wymagają, aby katolicy mieli nietylko swój plan działania przystosowany do wszystkich tych dziedzin, lecz aby plan ten był rzeczywiście przesiąknięty duchem prawdziwie chrześcijańskim, aby jaśniał — że tak powiemy — swą treścią doktrynalną. Zasada unifikacji moralnej jest tu bowiem niezbędnym postulatem. Praca nad pokojem w ładzie międzynarodowym nie da rezultatu, jeśli pokoju nie będzie w łonie państwa, warstw społecznych, rodziny i samego naszego sumienia. Różne te postacie pokoju nie są bowiem rzeczami, które możnaby traktować oddzielnie — rzeczami uwarstwowanemi: przenikają się wzajemnie i jedne na drugie zachodzą. Tworzą całość nierozdzielną a jednak różnolitą. I dla tego akcja pacyfikacyjna jest tak trudną i wymaga tyle przezorności i ostrożności, zaś dziedzina międzynarodowa, w której się ona rozwija, tak pełną przeszkód. I dlatego jeszcze akcja pacyfikacyjna, aby dać rezultaty, musi być prowadzoną z uwzględnieniem wszystkich słabości i niedoskonałości ludzkich. I dlatego wreszcie: akcja pacyfikacyjna, aby porwać entuzjazmy a rozbroić serca, musi czerpać swe siły i natchnienia przedewszystkiem z tego jedynego źródła skąd wypływa samo pojęcie pokoju: miłość. Prawdziwym bowiem źródłem pokoju jest tylko miłość — ta miłość brak której był właśnie tem, co uniemożliwiało antycznemu światu pogańskiemu zadziergnięcie stosunków między narodami na podstawie jedynej więzi, która ich połączyć naprawdę może.

Więź tę dało dopiero chrzecijaństwo. Teraz chodzi o danie jej nowego — szerszego — wyrazu. *Fr. Potocki.*

JUBILEUSZ ŚW. CYRYLA I METODEGO.

Jedenaście wieków temu urodził się w Salonice Cyryl, wielki apostoł Słowian, który przetłumaczył Liturgję św. Jana Chryzostoma na język słowiański, którego imię nosi alfabet, używany jeszcze dziś przez Rosjan, Serbów i Bułgarów. W tym miesiącu rozpoczyna się więc rok jubileuszowy dla świata słowiańskiego, pielgrzymki udawać się będą do grobu św. Cyryla w Rzymie, a także — na większą skalę — do grobu w Velehradzie, gdzie leży pochowany św. Metody, pierwszy arcybiskup Słowian. W tem świętem miejscu Czecho-Słowacji, dwaj bracia pracowali niegdyś razem, a obecnie jest ono ogniskiem Apostolstwa Cyryla i Metodego dla powrotu Słowian do jedności z Rzymem.

Postępując w myśl Encykliki *Grande Munus* Leona XIII z r. 1880, rozszerzającej kult św. Cyryla i Metodego na cały kościół, grupa gorliwych czeskich kapłanów założyła pobożne stowarzyszenie modlitwy i pracy w duchu świętych braci, pod opieką Najśw. Dziewicy. W ten sposób rozpoczął się wysiłek Słowian o przywrócenie jedności religijnej, który za punkt wyjścia wziął następujące słowa papieża: *chcemy, by powszechnie błagano św. Cyryla i Metodego i modlono się do nich, aby oni będąc tak przemożni wpływem u Boga, strzegli chrześcijaństwo na całym wschodzie, wypraszając katolikom stałość a schizmatykom wolę pogodzenia się z prawdziwym Kościołem.*

Apostolstwo św. Cyryla i Metodego otrzymało aprobatę kościelną w r. 1891, i zaczęło się szybko rozszerzać między Słowianami katolikami środkowej i południowo-wschodniej Europy. Mgr. Glivec, profesor uniwersytetu w Lublanie, najgorliwszy zwolennik tego Apostolstwa w Jugosławji, wydał właśnie dzieje dwóch tych apostołów słowiańskich, jako książkę poświęconą ich pamięci w roku jubileuszowym. (Slovanska Apostola Sw. Cyril in Metod. Ljubljana 1927). Po starannem odłączeniu faktów od legend dał autor żywy obraz warunków życia w Bizancjum w czasach, kiedy dwóch młodych szlachciców greckich postanowiło poświęcić się nawracaniu Słowian. Profesor Glivec zużytkował stare legendy tylko o tyle, o ile rzucały światło na teologiczną ścisłość wierzeń i na ogólny stan umysłu Słowian, wśród których legendy powstały. Dzieło to ma tak wielkie historyczne znaczenie, że każdy kto studjuje Wschód chrześcijański, znać je musi. Znajdujemy tam dokładne sprawozdanie o stosunkach grecko-słowiańskich tych czasów, i wyjaśnienie niezaprzeczonego prawa Słowian do własnego słowiańskiego kościoła.

Metody był najstarszym a Cyryl najmłodszym synem Leona, wicegubernatora Saloniki, który miał wielu przyjaciół na dworze bizantyńskim. Leon i jego żona pochodzili ze szlachetnego rodu i byli głęboko religijni. Wychowywali siedmioro swych dzieci w atmosferze pobożności i kultury. Metody był przeznaczony do służby wojskowej i dzięki wpływom swego ojca otrzymał odpowiedzialne stanowisko wojskowe w jednej z prowincyj słowiańskich dzisiejszej połudn. Serbji. Cyryl był dwanaście lat młodszy od niego, i po dzieciństwie spędzonem w rodzinnem mieście Salonice, został posłany w czternastym roku życia do Konstantynopola, celem ukończenia studjów pod kierownictwem Teoktista, kanclerza państwa a późniejszego swego przyjaciela i protektora. Chłopiec przybył do stolicy w r. 843, właśnie po zaprowadzeniu „Niedzieli prawowiernej", dla zaznaczenia triumfu Kościoła na Synodzie w Konstantynopolu, nad złożonym z urzędu heretykiem patrjarchą Janem. To święto zachowało się jeszcze w kościołach prawosławnych w pierwszą niedzielę postu; i dobrze jest zwrócić uwagę katolików, jak to O. de la Taillie wyjaśnił, że prawowierność kościoła konstantynopolitańskiego przeciw herezji przetrwała przez wieki nawet po schizmie.

Od najwcześniejszego dziecinstwa Cyryl okazywał wielkie zamiłowanie do nauki. Wybrał sobie za patrona św. Grzegorza z Nazjanzu i pragnął współzawodniczyć z nim w świętości i nauce. Opowiadają, że jako mały

chłopiec odwiedzał często piękny kościół św. Mądrości w Salonice, i pewnego dnia patrząc na mozaikę Matki Boskiej nad ołtarzem, zrozumiał, że Ona jest siedzibą Mądrości i poświęcił Jej swoje życie i prace. Prof. Grivec przypomina, że od najdawniejszych czasów Wschód łączył Najśw. Dziewicę z Boską Mądrością i że stosunkowo niedawne wprowadzenie tytułu „Stolico Mądrości do Litanji loretańskiej“ jest całkowicie zgodne z wschodnio chrześcijańskiem pojęciem Marji.

Cyryl skończył studja w r. 847, i został wyświęcony na kapłana. Odrzucił świetne widoki światowej karjery, nie chciał też przyjąć stanowiska bibljotekarza Patrjarchy i kustosza w Państwowem archiwum, które to godności zaprowadziłyby go szybko do wysokich dostojeństw kościelnych. Zamiłowanie jego do nauki przejawiło się w pragnieniu nauczania młodzieży i nauczał on przez cztery lata w państwowej szkole dla szlachty. W 851 r, udał się do Bagdadu, gdzie arabscy filozofowie usiłowali podkopywać wiarę chrześcijańską. Udało mu się zbić ich bezbożne nauki. W następnym roku połączył się ze swym bratem Metodym w klasztorze na górze Olimpa. Metody wystąpił z wojska, gdzie był bezsilny wobec bizantyńskiego systemu wojskowych rządów w prowincjach słowiańskich. Zdawał on sobie sprawę z tego, że podbite ludy tych okolic nigdy nie będą pozyskane dla wiary Chrystusa, jak długo jedynymi znanymi im chrześcianami będą panujący nad nimi greccy despoci, którzy ich gnębili i prześladowali.

Dwaj bracia spotkali się teraz po kilkuletniej rozłące, by już nie rozstać się z sobą, aż do śmierci Cyryla w r. 869. Obydwaj usłyszeli to samo wezwanie nawracania na Ewangelję Słowian, których język był im dobrze znany. Metody został zakonnikiem lecz nie kapłanem i gdy rozpoczęli misje w ciągu całego okresu wspólnej pracy, Metody służył jako djakon swemu młodszemu bratu Cyrylowi. W ciągu krótkiego pobytu w południowej Rosji, Cyryl odnalazł relikwie św. Klemensa, który poniósł śmierć męczeńską na Chersonesie w r. 101. Część tych relikwij przesłał później do Konstantynopola, stamtąd na Morawy, a ostatecznie do Rzymu.

Metody i Cyryl przebywali przez pewien czas w Konstantynopolu, gdy Focjusz gwałtownie występował przeciw Rzymowi. Cyryl był dawniej jego uczniem i cierpiał bardzo, widząc jak jego dawny nauczyciel na złe używał swych wielkich umysłowych darów. Napominał on i gromił Focjusza, wzywając go, by przestał „zatracać dusze“ swą fałszywą nauką. W r. 861 książę morawski Wrastysław prosił cesarza o przysłanie do jego kraju misjonarzy, którzyby mogli lud nauczać, gdyż dawniejsi misjonarze nie znali języka ludu. Cesarz zawezwał Cyryla i Metodego, by się podjęli tego zadania, co też oni uczynili z radością. Przybyli na Morawy w r. 863, przynosząc z sobą relikwie św. Klemensa i słowiańskie tłumaczenie ewangelij niedzielnych. Cyryl wprowadził alfabet słowiański, zwany Głagolicą, używany do dziś dnia w liturgii. Znacznie zmieniony alfabet, znany dziś pod nazwą Cyrylicy, rozwinął się z poprzedniego. Cyryl dawniej już przetłumaczył Liturgję św. Jana Chryzostoma na język słowiański, i tłumaczenie to, jak i jego tłumaczenie Ewangelji zalicza się do najcenniejszych pomników historji literatury. Skoro tylko język słowiański wszedł w służbę ołtarza, Słowianie zostali przyjęci do społeczności ludów chrześcijańskich.

Cyryl zaprowadził słowiańską liturgję na Morawach, co obudziło podejrzliwość i niechęć niemieckiego duchowieństwa, usiłującego rozszerzać wiarę wśród ludu, którego języka nie znało. W owym czasie hierarchia kościelna była niemiecką i nie odznaczała się ani świętością ani nauką. Nic więc dziwnego, że Metody i Cyryl zostali w tych warunkach zmuszeni do bronienia sprawy chrześcijaństwa ludów słowiańskich. W 869 r. przybyli oni do Rzymu, przynosząc z sobą relikwie św. Klemensa. Papież Adrjan II, wysłuchawszy ich uważnie, zrozumiał, że nietylko nie było ani śladu herezji w ich pracy apostolskiej, ale że sposoby, któremi bracia się posługiwali, były jedynie skuteczne w dawnych warunkach. Papież sam w r. 868 dał Metodemu święcenia kapłańskie. Pobłogosławił księgi słowiańskie i umieścił je na ołtarzu w kościele S. Maria Maggiore, gdzie według podania miał św. Metody odprawić swą pierwszą Mszę św. Cyryl nie powrócił już do swych ukochanych Słowian i następnego roku umarł w Rzymie. Schizma groziła Kościołowi i ostatnią modlitwą Cyryla były prośby za jedność chrześcijaństwa i ludów słowiańskich. Umierając polecał bratu, by nigdy nie uległ pokusie szukania pokoju w klasztorze, lecz by do końca pracował wśród ich duchowych dzieci. Metody rzeczywiście powrócił na Morawy, skąd wysyłał uczniów na wszystkie strony ziem słowiańskich. Umarł jako arcybiskup Velehradu w r. 885.

Ludy słowiańskie stanowią w Europie ogniwo między Wschodem a Zachodem. Ich świętymi apostołami byli zakonnicy wschodniego obrządku, a na Morawach i na Węgrzech, gdzie oni nauczali, Cyryl odprawiał Mszę św. we własnym obrządku. Ale ponieważ kraje te leżały w zachodniej Europie, ich naturalny obrządek powinien był być rzymski, a nie konstantynopolitański. To też doprowadziło do przetłumaczenia prawdopodobnie przez samego św. Metodego rzymskiej Mszy na język słowiański. Jest ono znane pod nazwą Mszy głagolickiej i używane jest w niektórych djecezjach słowiańskich.

Obrządek bizantyński, tak jak go przełożył św. Cyryl na język słowiański z greckiego, utrzymał się między wschodniemi Słowianami, unitami i katolikami. W czasach Cyryla i Metodego łacina była językiem państwowym, językiem władców i szlachty. Dla ludów słowiańskich, języki grecki i łaciński niezrozumiałe, utożsamiane z językami władców nieprzyjacielskich, nie mogły być przyjemne. Tylko przez danie im możności odprawiania nabożeństwa w ich rodzinnym języku, można było pozyskać Słowian dla Kościoła Powszechnego, który nie jest łaciński ani grecki. Cyryl zdawał sobie z tego sprawę w zupełności i otrzymywał serdeczne poparcie Papieża Mikołaja I i Adrjana II, gdy wprowadzał w czyn swe plany.

Kościelny język liturgiczny nie był wówczas „ustalony", (jeśli można się tak wyrazić) i nie istniał zakaz używania narodowych języków. Oczywiście sytuacja dziś jest zupełnie inną i nie może być dziś w żadnym kraju usprawiedliwioną prośba o wprowadzenie do Mszy św. któregoś z nowożytnych języków. Za Głagolicą zaś albo za słowiańskiem tłumaczeniem rzymskiej Mszy św. tak jak ono doszło do nas od uczniów Cyryla i Metodego, będzie prawdopodobnie mogła oświadczyć się każda djecezja Jugosławji. Hierarchja kościelna tamtejsza prosiła w Rzymie o takie wznowienie;

niema w tem żadnej inowacji, a byłoby to najskuteczniejszą drogą dla dokonania tego zbliżenia między prawosławnymi a katolikami Słowianami, któreby musiało doprowadzić do jedności religijnej.

Cyryl pochowany w Rzymie, a Metody pochowany w samem sercu Słowiańszczyzny, w Velehradzie, jeszcze dziś łączą z sobą chrześcijańskich Słowian, będących potomkami potężnej rasy, która była przedmurzem chrześcijaństwa w Europie przeciw Islamowi. Katoliccy i prawosławni Słowianie utrzymali krzyż przeciw półksieżycowi, i w ich wspólnej czci dla Zbawiciela i dla Bogarodzicy tkwi podstawa do tej doskonałej jedności wiary, o którą nasz Ojciec św. codziennie się modli.

A. Christitch (The Tablet).

KS. BISKUP OTTOKAR PROHASZKA.

Z ks. biskupem Ottokarem Prohaszką bez wątpienia wstąpił do grobu jeden z największych wodzów katolicyzmu naszych czasów. Ale zarówno śmierć jak i życie wielkich ludzi, zwłaszcza jeżeli są katolikami, nie należą do jednego narodu, ale do całego Kościoła katolickiego, owszem bez przesady rzecby można, do całej ludzkości. Dlatego przy grobie Prohaszki stoi okryty żałobą nietylko naród węgierski, ale cały wojujący Kościół, cała ludzkość. — Urodził się 10 października 1858 r. w Nitrze, z rodziny mieszczańskiej, gdzie otrzymał początkowe wykształcenie. Studja gimnazjalne odbywał we wielu zakładach średnich, ale najdłużej przebywał w Kaloczy w zakładzie OO. Jezuitów. Tutaj poraz pierwszy w sposób jaśniejszy przemówił do młodzieńczego serca Ottokara Duch święty, rozwijając w świątyni serca jego kiełkujące ziarno powołania kapłańskiego. A ziemia urodzajna chętnie przyjęła działanie Ducha: młodzieńca siedmioklasistę widzimy już w seminarjum ostrzychomskiem. Na studja teologiczne z powodu wybitnych zdolności i szlachetnego charakteru został wysłany do Rzymu. W wiecznem mieście, w „gorącej sferze“ katolicyzmu w najjaskrawszych kolorach rozwija się pączek. Siedmioletnie, ciche naukowe i duchowe zagłębianie sie, które spędził w Kolegjum węgiersko-niemieckiem pod kierownictwem OO. Jezuitów, wyryło w młodzieńczej duszy niezatarte znamię. O tych czasach Zmarły w pismach swoich wspomina z wdzięcznym pietyzmem.

Po uzyskaniu doktoratu filozofji i teologji, w dniu Wszystkich Świętych 1881 r. otrzymał święcenia kapłańskie wraz z kilkoma innymi alumnami z rąk samego Ojca świętego, jako nagrodę za wspaniałe postępy. Kiedy wrócił do Ojczyzny, prymas-arcybiskup Jan Szimor prorokował mu świetną przyszłość. Po kilku już miesiącach został mianowany profesorem teologji, na którym to urzędzie pozostawał przez 22 lata, będąc równocześnie duchownym teologów. W tym czasie rodzą się jego wiekopomne dzieła, będące wyrazem jego wulkanicznego ducha, który jednak nie niszczy, ale użyźnia i sprawia bujny wzrost. „Bóg i świat” (1891) — „O żalu chrześcijańskim i odpuszczeniu win” (1895) — „Ziemia i niebo“ (1902) — „Triumfujący światopogląd” (1903) i t. d. Wtedy pisał także swe cenne rozprawy i kry-

tyki, które umieszczał na szpaltach gazety „Węgierski Sion”, które zebrane, same uczyniłyby 5 olbrzymich tomów. Przez dwie dziesiątki lat wychowuje przyszłych kapłanów diecezji. Do jakich wyżyn prowadzi uległe dusze kleryków, wskazują na to „Rozmyślania o Ewangelji”. Albowiem książka ta, którą wielu z pośród katolickiej inteligencji polskiej od początku zjawienia się zna i kocha, niczem innem nie jest, jak zbiorem materjałów do medytacji, w którym wielki uczony i świątobliwy Mistrz przemawia do swych dzieci w Chrystusie z serca do serca. Klerycy jego spisywali i zbierali te materjały: on zaś czynił tylko ostatnie poprawki.

W r. 1901 po raz pierwszy daje słynne swe ćwiczenia duchowne w kościele na zamku w Budzie, które od tego czasu corocznie powtarza w kościele uniwersyteckim w Peszcie aż do 2 kwietnia b. r. Tam też właśnie przy tej apostolskiej pracy, śmierć go znalazła na ambonie. W r. 1904 został zamianowany profesorem uniwersytetu na wydziale teologicznym w Budapeszcie. Tutaj z powodu krótkiego pobytu nie mógł rozwinąć szerszej działalności. Już bowiem w r. 1905 mianowano go biskupem Białogrodu królewskiego na Węgrzech (1905). Dwudziestego czwartego grudnia 1905 r. otrzymał sakrę biskupią wespół z czterema innymi, z rąk świątobliwego papieża Piusa X. Zajmujący jest przyjazd Prohaszki do biskupiej rezydencji. Nie oznaczył wcale dnia swego przyjazdu. Przyjechał dnia 11 stycznia 1906 r. Z dworca kolejowego przyszedł pieszo do pałacu. W ręce trzymał od dawna używany parasol, pod pachą brewjarz, a w papierze w gazety owiniętą najpotrzebniejszą bieliznę. Księży należących do kurji biskupiej nie było nawet w domu. Odźwierny nie wiedział kim jest przybysz i nie chciał wpuścić go do pałacu. „Proszę poczekać dopóki nie przyjadą panowie” — powiedział. A Prohaszka wyszedł pocichutku pod swój pałac i przechadzając się tam i tu czekał na przyjazd „panów”.

Wśród olbrzymiego entuzjazmu wygłosił pierwsze kazanie. „Przyszedłem pracować — powiedział — pracować chcę w wielkiej robocie ochrony obyczajowo poczynającego upadać narodu węgierskiego, pracować nad uzdrowieniem dusz złożonych chorobą naszych czasów, pracować nad nawróceniem grzeszników złamanych gorączką namiętności. Wszystko to w imieniu Jezusa, siłą Jezusa“.

Prohaszka w czasie swego biskupstwa był arcypasterzem nietylko swej diecezji, ale całego kraju; w pierwszym rzędzie ożywicielem życia duchowego inteligencji. Gdzie tylko wszczęto ruch duchowy, wszędzie był on wodzem w pierwszym szeregu. W czasie wojny jako członek senatu żądał ziemi dla wojujących bohaterów. Twardo biczował beznarodowość żydów: mało ich na froncie, ale tem więcej w obozach i uwolnionych. W dniach rewolucji 1918 r. ostro przeciwstawił się hasłom nienarodowym. W czasie komunizmu życie jego było narażone na ciągłe niebezpieczeństwo. Uratowała go tylko czujność i śmiałość wiernych owieczek. Z chwilą upadku komunizmu w sierpniu 1919 r. na pierwszem Zgromadzeniu Narodowem akcentuje potrzebę współpracy wszystkich chrześcijan. Kiedy widzi, że bolesne następstwa zbrojnego pokoju z protestantyzmem rodzą obojętność i usunięcie w tył katolicyzmu, wycofuje się z pola politycznego i całkowicie oddaje się swemu powołaniu biskupiemu. — Jego ostatnią pracą są medy-

tacje o Najsłodszem Sercu Jezusowem pod tytułem: „Zródło żywych wód". Wielki duch najchętniej ukrywa się w tej najgłębszej tajemnicy Chrystusa, to jest w tajemnicy Jego miłości ku nam.

Sławne, co rok powtarzające się ćwiczenia duchowne, dawał także w bieżącym roku w Budapeszcie. Przedostatnie kazanie z tego cyklu rekolekcji zaczął w piątek wieczorem. Mówił o spowiedzi i pokucie. Wzniosłe myśli wspaniale płynęły z jego duszy, wzbudzając uczucia skruchy w sercach licznie zgromadzonej rzeszy mężczyzn. Naraz przestał mówić. Myśli jego poczęły się rwać. Podano mu wody. Mimo nalegań i próśb mówił dalej. Słowa wychodziły coraz bardziej nielogiczne. Wreszcie przestał mówić. Bliżej stojący wybiegli na ambonę. Jeszcze i teraz chciał przedłużać pracę rozsiewania słowa bożego. Silną wolę przemogła apopleksja. Upadł. W sobotę popołudniu o trzy na drugą poraz ostatni uderzyło jego szlachetne serce.

Jak urzeczywistnił swoją programową biskupią przemowę, tego dowodem jest jego pogrzeb. U trumny jego płacze razem duchowieństwo węgierskie, inteligencja, robotnicy, których interesy tak głęboko leżały mu na sercu i młodzież przez niego tak ukochana. Jego imieniem chlubią się stowarzyszenia naukowe i literackie. Prohaszka był rzeczywiście „wszystkiem dla wszystkich". Owszem w jego sercu tysiąckroć tyle znalazłoby wygodne mieszkanie. Serce naprawdę „katolickie", arcypasterskie. Ale zdaje się, że w pierwszym rzędzie jest ono sercem inteligencji męskiej. I słusznie. Tam bowiem jest największa nędza. Swiatłość zapalać w myślach wątpiących, wnosić ciepło miłości bożej do serc chorych, targanych namiętnościami. Zadnej prawdy nie akcentował tak dobitnie, jak świętą radość i szczęśliwość w kroczeniu drogą Pańską. Całe snopy wiecznych prawd rzucał do rozumów ludzkich. Wszelako to jeszcze nie wystarcza. Jest to tylko konieczny początek. Ale miłować Pana Boga jako jedyne dobro wieczne, po prostu, prawdziwie, serdecznie jak oblubienica oblubieńca — i śpiewając szczęśliwie opływać miłością Bożą, radując się przybliżać się do niebieskiej ojczyzny.

Kiedy ze łzą w oku patrzymy za odchodzącym w dal, w sercach naszych gości wielkie i głębokie uspokojenie, gdy wspomnimy na słowa Pańskie: „Który mniemasz jest sługa wierny i roztropny, którego postanowił Pan jego nad czeladzią swoją, aby im dał pokarm na czas? Błogosławiony sługa on, którego, gdy przyjdzie Pan jego, znajdzie tak czyniącego. Zaprawdę powiadam wam, że go postanowi nad wszystkiemi dobrami swemi (Mat. 24, 45 — 47).

Dombi József S. J.

POMNIK NAJŚW. SERCA W BILBAO. Wspaniały pomnik ku czci Najśw. Serca Pana Jesusa zostanie wkrótce odłonięty w Bilbao. Statue Najśw. Serca umieszczono na wysokiej i wdzięcznej kolumnie marmurowej, a wszyscy podziwiają piękność tej rzeźby. Bronz figury błyszczy złotemi promieniami, a wkrótce będą gotowe i płaskorzeźby podstawy. Poświęcenie tego pomnika da sposobność do wspaniałej manifestacji religijnej.

WIARA I NAUKA.

POWSTANIE ZIEMI WEDŁUG NAJNOWSZYCH TEORYJ NAUKOWYCH A WEDŁUG PISMA ŚWIĘTEGO.

VII.

Zjawienie się człowieka na ziemi. — Wiek ludzkości. — Ewolucja a powstanie człowieka. — Dusza ludzka. — Powstanie ciała.

Zarówno Pismo święte jak i nauki przyrodnicze zjawienie się człowieka na ziemi naznaczają na chwilę, kiedy już życie zarówno roślinne jak i zwierzęce doszło do najwyższej pełni rozwoju. Kiedy to było, ile lat człowiek istnieje na świecie, nikt nie zdoła dzisiaj ściśle określić. Bo przecież tych czterdziestu parę wieków, które wedle Pisma św. upłynęły między Adamem a przyjściem Chrystusa, nie trzeba koniecznie uważać za datę ścisłą. Autorzy ksiąg świętych mieli nieraz zwyczaj w wyliczaniu generacyj wypuszczać całe szeregi pokoleń. Chodziło im często tylko o wskazanie linji genealogicznej jakiejś biblijnej osoby, a niekoniecznie o wymienianie jej wszystkich przodków. W każdym razie lata istnienia ludzkości na ziemi obliczone według dat podanych przez Pismo święte byłyby granicą najniższą. Na pytanie zaś, jaka jest granica najwyższa, to znaczy, jak długo co najwyżej ludzkość znajduje się na ziemi, niepodobna dać ścisłej odpowiedzi. Przyrodnicy materjalistyczni, którzy mimo wszystko czują dobrze, jak niezmierna przepaść nawet pod względem czysto materjalnym, zwierzęcym, oddziela człowieka od zwierzęcia, uważają za stosowne przepaść tę niejako zasypać olbrzymią cyfrą lat, której było potrzeba, by rzekoma ewolucja, przemiana zwierzęcia w człowieka mogła się dokonać. Można więc czytać u takich autorów nietylko o miljonach, ale o miljardach lat przebywania ludzkości na ziemi. Nikt im w tem nie przeszkadza, mogą sobie co do wieku ludzkości snuć przypuszczenia, jakie im się podoba.

Inna natomiast jest sprawa, gdy chodzi o owe tak niezmiernie ważne, tak bardzo rostrząsane i tyle zajadłych walk koło siebie grupujące pytanie, mianowicie w jaki sposób człowiek zjawił się na ziemi. Zagadnienie czy człowiek pochodzi od Boga, to znaczy, czy jest stworzeniem bożem, czy też tylko najwyższym na razie szczeblem, do którego doszła ewolucja, jak twierdzić mają odwagę materjaliści, rozstrzygnęliśmy już, mówiąc o początku świata wogóle, a w szczególności o początku życia. Że świat materjalny nietylko jest stworzeniem Boga, ale że miał początek w czasie, jest to, jak powyżej widzieliśmy, dogmatem wiary. To zaś że życie na ziemi nie mogło powsłać przez rozwój sił nieorganicznych, lecz zawdzięcza swe istnienie bezpośrednio osobnemu aktowi wszechmocy Bożej, jest jak udowodniliśmy, postulatem nauki, a więc rozumu. Lecz widzieliśmy wyżej, że nawet między tymi, którzy przyjmują pochodzenie świata od Boga, rozmaite panują poglądy co do bezpośredniego sposobu powstania życia. Otóż można

się zapytać, czy i o ile taka mnogość teoryj jest również dozwoloną, gdy chodzi o powstanie pierwszego człowieka. Znaczyłoby to innemi słowy, czy można przypuścić, że Bóg przez osobny akt Swej wszechmocy dał taką moc jakiemuś organizmowi zwierzęcemu, że tamże w pewnym czasie przy sprzyjających warunkach zewnętrznych i wewnętrznych mógł dać i rzeczywiście dał początek człowiekowi.

Roztrząsając to pytanie, na samym wstępie trzeba zaznaczyć i przypomnieć, że człowiek składa się z dwóch substancyj, jednej zwierzęcej, a drugiej duchowej, stąd nazywamy człowieka zwierzęciem rozumnem. Substancje te są między sobą istotnościowo różne, tak, że większa przepaść jest między duchem a materją, niż między życiem a materją nieorganiczną. Jak więc materja nieorganiczna siłami swemi nigdy nie może dojść do wydania istoty żywej, tak tembardziej istota żywa materjalna nie może zrodzić istoty duchowej. To też nietylko wiara ale i rozum naucza, że każda dusza ludzka powstać może i powstaje przez osobny akt stwórczy Boga. Katolik więc żaden nigdy ani na chwilę nie może się zgodzić na taką teorję ewolucji, wedle której człowiek cały powstał ze zwierzęcia.

Postawić jednak można pytanie lub wątpliwość, czy koniecznie opowiadanie o stworzeniu człowieka, jak je znajdujemy w *Księdze Podzaju*, trzeba brać w znaczeniu dosłownem. Pismo święte w następujących słowach opisuje stworzenie człowieka: *Utworzył tedy Pan Bóg człowieka z mułu ziemi i tchnął w oblicze jego ducha żywota, że stał się człowiek istotą żyjącą.* (Ks. Rodz. II, 7). Zapytać tedy można, i pytanie to raz po raz już uczeni katoliccy stawiali, czy Bóg sam bezpośrednio stworzył nietylko duszę, ale i ciało pierwszego człowieka? Czyż nie więcej odpowiadałoby mądrości i wszechmocy Boga, gdyby ciało powstało z jakichś rodziców zwierzęcych? Innemi słowy, czy nie można przypuścić ewolucji świata zwierzęcego takiej, że doprowadziłaby ona aż do wytworzenia ciała ludzkiego?

Zdawałoby się może, że odpowiedź na to pytanie należy do zakresu nauk czysto biologicznych. W wielkiej części tak jest, ale nie wyłącznie. Człowiek bowiem to nie jest złożenie jakieś lub zespół dwu substancyj, bytujących w symbiozie, ale jest to jedna istota, złożona z dwu substancyj, związanych ze sobą w sposób jak najściślejszy. Stąd nietylko gdy chodzi o duszę, ale także i gdy chodzi o ciało, problematy dotyczące człowieka podpadają pod dziedzinę teologji. Kościół wprawdzie nie ogłosił dotychczas dogmatu nauczającego, że ciało ludzkie nie powstało przez ewolucję ze zwierząt, lecz zostało stworzone bezpośrednio przez Boga. Mimo tego jednak najświatlejsi i najbardziej postępowi, wyniki nauk najśmielej uwzględniający teologowie, i dawniejsi i dzisiejsi są przekonani, że jednak taka teorja nie zgadza się z prawdą i rzeczywistością. Najpierw bowiem napotykałoby się tu na ogromne trudności filozoficzne i psychologiczne, a dalej, mówią oni, godność człowieka jako króla i pana wszystkich stworzeń, domagała się tego, by człowiek początku swego nie zawdzięczał tak przepaściście od siebie niższym zwierzętom, lecz by na wzór owych istot czysto duchowych, zwanych aniołami, byt swój wziął całkowicie i bezpośrednio z rąk Najwyższego Stwórcy. Tak mówią teologowie, oparci na źródłach Objawienia, wszechstronnie i bezstronnie roztrząsanych. Ale mimo

to przypatrzmy się choć w najgłówniejszych rysach, co o sprawie pochodzenia ciała ludzkiego mówią lub zdołają wogóle powiedzieć nauki przyrodzone.

Mówimy umyślnie: przyrodzone, a nie przyrodnicze. Bo chociaż te ważny tu głos mieć mogą, to jednak prócz nich do głosu trzeba dopuścić i nauki inne, historyczne i humanistyczne. Zaczynając tedy od nauk przyrodniczych, jednogłośnie stwierdzają one, że tak pod względem budowy anatomicznej, jak i biologicznym, między zwierzęciem, choćby najwyżej zorganizowanem a człowiekiem istnieje przedział, wobec którego nauka, o ile chce się opierać na faktach dostrzeżonych i stwierdzonych, a nie na dowolnych przypuszczeniach, stoi bezradna. Od wieku blisko przyrodnicy czynią wszelkie możliwe wysiłki, śledzą z całą pilnością wykopaliska bądź przypadkowe bądź w tym celu umyślnie wydobyte, by znaleźć owo ogniwo brakujące, owo darwinowskie missing link, szkielet zwierzęcia, któryby był pośrednim między najwyższą dotąd znaną formą zwierzęcą a człowiekiem. Wysiłki te i poszukiwania nie dały dotąd żadnego innego rezultatu, jak kilka odłamków kości, o których pochodzenie przyrodnicy sami się spierają, przypisując je bądź zwierzętom bądź wyrobionej już formie człowieka. I można chyba z całym spokojem zapewnić, że nie znajdą, bo szukają — tego, czego niema.

Z drugiej zaś strony zarówno odkrycia najdawniejszych zabytków archeologicznych, nie wyłączając owych rysunków jaskiniowych, nakreślonych ręką pierwszego człowieka, jak i najstarsze pomniki historyczne, przedstawiają nam człowieka obdarzonego inteligencją bardzo wysoką, nie ustępującą w niczem inteligencji obecnego człowieka. Wszak udowodniono, że człowiek w pierwszych epokach swego istnienia na ziemi żył jeszcze współcześnie z mamutem i zdołał on gatunek ten wytępić całkowicie, nie mając do walki z tym potworem innej broni prócz obrobionego nieco kamienia — i rozumu.

Zbierając tedy to wszystko, stanowczo i w miarę postępu nauk coraz bardziej stanowczo twierdzić należy, że pierwszy człowiek wyszedł cały, zarówno co do duszy jak i co do ciała, bezpośrednio z rąk Bożych, powstał przez bezpośredni akt stwórczy nieskończenie potężnego Boga, stanowiąc najwyższy stopień form życiowych na ziemi.

Ewolucja więc organizmów jeżeli naprawdę była, do człowieka stosować się nie może. Jest on nietylko panem wszelkiego stworzenia i może je obracać dowolnie ku swemu pożytkowi, ale nadto jest on powołany do życia istotnościowo różnego od życia zwierząt, bo do życia duchowego, rozumowego. I jako taki jest twórcą owych dziedzin życiowych, do których nigdy nie dosięgnie żadne zwierzę, do dziedzin mianowicie nauki, sztuki i poznania i uwielbienia nieskończenie mądrego, potężnego i dobrego Początku wszechrzeczy, jakim jest osobisty i świadomy siebie Bóg.

Ks. Feliks Hortyński.

DUCHOWY SKARBIEC POLSKI.

Na intencję Ojczyzny złożono
następujące ofiary:

Mszy św. odprawionych . . .	15
„ „ wysłuchanych . . .	75
Komunij św.	60
Różańców	292
Aktów pokory	278
„ cierpliwości i słodyczy .	458
„ umartwień wewnętrznych	458
„ „ zewnętrznych	608
Godzin pracy i cierpień . . .	1208
Uczynków miłosierdzia co do ciała	1908
„ „ co do duszy	1908
Modlitw	2060
Nawiedzin Najśw. Sakramentu .	.226
Nawiedzin obrazów Matki Najśw.	206

KOMUNJA ŚW. ZA POLSKĘ:

Z Góry Kalwarji: J dr ejewska M., Szwendrowska M., Orłowska M., Zacharzyńska Fr., Miler K., Str.elecka T., Gwóźdź Hel., Zabicka R., Mycka M., Zawadzka M., Zielińska J., Nowakowska Fr., Kaliszewska H. — Z Wilna: Bohdanowicz L, Tartenasówna J.

Prosimy naszych Czytelników usilnie, by rozszerzali wśród swych znajomych myśl ofiar i modlitw za ojczyznę. Kartki do Skarbca można nabyć w naszej Redakcji, w cenie 20 gr. za 100 sztuk.

W MODLITWACH NASZYCH PAMIĘTAJMY O MEKSYKU!

Od Wydawnictwa.

Prosimy P. T. Prenumeratorów, którzy jeszcze nie uiścili prenumeraty, o łaskawe nadesłanie przedpłaty.

Prenumerata wynosi: 10 zł. rocznie, 3 zł. kwartalnie.

Dla P. T. Nauczycielstwa prenumeratę zniżamy do połowy.

Konto czekowe P. K. O. Nr. 404912.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej.

Red. odp. i Wyd.: Zofja Włodkowa, Kraków, Pędzichów-boczna 5.